

Europa na weekend, nie tylko palcem po mapie

LWÓW

Miasto „polskie”, w którym katolicyzm przeplata się z prawosławiem, nowoczesne bloki sąsiadują z secesyjnymi kamienicami, obok odrapanych autobusów i tramwajów przemykają nowoczesne samochody, biznesmen w eleganckim garniturze i teczką z laptopem w ręce jedzie tuż obok kontrolerki w nylonowym kitelku i rolką cienkich, papierowych biletów, zachód zmieszany z nutką wschodu, swojsko, a jednak obco. Miasto wszechstronne. W którym czuć swojski klimat Krakowa czy Wiednia, a mimo to niezmiernie egzotyczne.

O Lwowie słyszałam już w przedszkolu. Gdy poszłam do szkoły miasto wróciło do mnie na stronach książek. Ciągłe były to jednak słowa i fotografie, których nie umiałam powiązać z przestrzenią.

Na własne oczy zobaczyłam Lwów stojąc w Polsce. Stałam w sanktuarium w Kalwarii Pałacowskiej i spoglądałam ku miastu majaczącemu na odległym i przymglonym horyzoncie. Stało się ono dla mnie czymś bardziej rzeczywistym. Nie było już tylko punktem na mapie, stertą zdjęć i mnóstwem słów. Istniało.

Miałam gotowy szkic, który należało uprzestrzennić, nadać barw, dźwięku i zapachu. Całkiem jakbym próbowała ożywić subtelny rysunek Niebiańskiej Jerozolimy z tła krucyfiksu Wita Stwosza z krakowskiego kościoła Mariackiego.

Z precyzją dorównującą zapałowi zabrałam się do pracy. Kluczowe miejsce na moim biurku zajął plan Lwowa. Palcem lub czubkiem ołówka delikatnie kreśliłam niekończące się trasy. Raz podążałam za miejscami upamiętnionymi historią, raz chronologicznie by móc śledzić rozwój stylów w sztuce, przy innej okazji starałam się wymyślić trasę jak najbardziej zapętloną, by się zgubić i chłonąć miasto, a nie przyjmować gotową, sfabrykowaną dla turystów, rzeczywistość.

Mijały dni. Mapa zaczynała świecić przetarciami. Rosła sterta książek z żółtymi zakładkami oznaczającymi opisy lub fotografie. Miałam zaplanowaną niemal każdą minutę z weekendu, który przeznaczyłam na wycieczkę. Wiedziałam co chcę zobaczyć. Głównych punktów, obowiązkowych do zwiedzenia, było tylko kilka. Lwów, podobnie jak Kraków, jest przede wszystkim miastem do oglądania całościowego. Nie trzeba biegać od zabytku do zabytku, bo znajduje się je na każdym kroku. Zabytkowe są kamieniczki, małe kościółki

nie ujmowane w przewodnikach, klimat... Rozgraniczyłam sobie dwie sfery: jedną stricte religijną, drugą historyczno-społeczną. Po jednej na każdy dzień.

Pierwszy dzień, rozpoczęty opuszczeniem pociągu na niezwykle, secesyjnym dworcu kolejowym, przeznaczyłam na sferę religijną. Zaczęłam od trzech katedr, które potraktowałam jak główne klejnoty, najpiękniej oszlifowane i wprawione w serce miasta.

Jako pierwszą oglądałam katedrę łacińską – czułam się w pewien sposób zobowiązana zacząć od religii, w której mnie wychowano. Byłam zachwycona. Malarskim okiem artystki rejestrowałam fascynującą grę światła i cieni w wysokim, gotyckim wnętrzu wyposażonym w barokową obfitość złoceń i ornamentów. Połączenie gotyk-barok ma w sobie coś takiego co zmusza do dłuższego zatrzymania się i kontemplacji. Zwłaszcza w sytuacjach gdy nie starano się tej gotyckości tuszować. Dodatkową perełką, była umieszczona w pobliżu kaplica rodziny Boymów. Mogłabym godzinami siedzieć i obserwować każdy centymetr niderlandzkich ornamentów okuciowych. W Krakowie czegoś takiego nie ma, a fotografia nigdy nie odda w sposób doskonały głębi i plastyczności. Jednak pragnienie, by zobaczyć na własne oczy jak najwięcej pociągnęło mnie dalej. Kolejne kościoły stały w moim „złotniczym” obrazie miasta jak dwa mniejsze klejnoty po bokach większego – katedra ormiańska i unicka.

Unicka sprawiała wrażenie perły otoczonej przez szmaragdy. W swojej bogatej bieli wyłaniała się spomiędzy drzew wzgórza. To podobieństwo wzmocniał fakt, że jest budowlą centralną, po barokowemu bogato zdobioną, z wyważonym, klasycystycznym wnętrzem. Jest jednym z kilku obiektów, w których jestem w stanie bezkrytycznie uznać barok za wspaniały styl.

Katedra ormiańska to odbicie unickiej w krzywym zwierciadle. Tym razem był to barok prosty, spokojny, wyważony, do tego stopnia, że aż „niebarokowy”. Wyraźnie było widać starą, gotycką, tradycję. Wiedziałam, że nie ma tam nic do oglądania. Całość jest zniszczona. Moje serce krakowianki zabolęło. To przecież miejsce, w którym można znaleźć krakowski rys – polichromie Mehoffera. Tu byłam przekonana, że dałabym na renowację każde pieniądze. Bez względu na to czy jest to kościół katolicki, synagoga, czy meczet.

Po przygodach i emocjach związanych z katedrami, po chwili odpoczynku, przyszedł czas na kolejne klejnoty. Wybrałam tylko dwa, chociaż wiem, że postąpiłam niesprawiedliwie wobec tych wszystkich, które ominęłam i widziałam jedynie z zewnątrz.

Zaglądnęłam do pobernardyńskiego kościoła św. Andrzeja Apostoła. Znow barokowe bogactwo. Manierystyczne dekoracje z ornamentu okuciowego. Niby nic nowego, ale moje zainteresowanie wynikało z faktu, że obecnie jest to kościół unicki, a nie stracił nic ze swego katolickiego przepychu.

Na zakończenie dnia „religijnego” weszłam do poddominikańskiego kościoła Bożego Ciała. Następne wydanie baroku mieszanego, tym razem, z rokokiem. Moją uwagę przykuł szczególnie plan kościoła – elipsa. Nie mamy wielu takich w Polsce. Moje myśli powędrowały do kolegiaty w Klimontowie. Tam również czułam ten niepokój wynikający z braku kątów prostych. To kolejny punkt, w którym, pomimo że byłam za granicą, czułam polskiego ducha.

Wieczór spędziłam na długiej rozmowie z moimi gospodarzami. Jak wielu lwowian, także oni dorabiają do swoich skromnych pensji wynajmując pokoje turystom. Pokój był ogromny, wysoki, ściany pokrywała mocno spłowiała tapeta w kwiaty. Największą egzotyką dla mnie był prosty, gazowy piecyk. Mój gospodarz odkręcił wodę w łazience, zapalił piecyk i zabronił mi pod żadnym pozorem jej zakręcać, bo inaczej płomyk zgaśnie, a gaz się będzie ulatniał... Przedstawił to tak plastycznie, że cały czas powtarzałam jak mantrę „nie zakręcaj wody”. Ale szczęśliwie mi się udało. A do tego – co jest pewnym luksusem w starej części Lwowa – mogłam się umyć po wstaniu rano. Jak pamiętałam z opowieści znajomych, nie zawsze było to możliwe. Ze względu na stare wodociągi i problemy z wodą nie wszyscy mieli taki luksus. Po prostu wodę na czas największego zużycia okresowo zamykano.

Dzień drugi, i zarazem ostatni rozpoczęłam od przeglądu przyrynkowych i staromiejskich kamieniczek. Najwięcej uwagi poświęciłam dwóm. Znow zrobiłam błąd, ale przecież nie mogłam zostać przez miesiąc by poświęcić się tylko domom mieszkalnym. Te wybrane przeze mnie stoją niemal tuż obok siebie, w tej samej pierzei Rynku. Jedną z nich jest kamienica Czarna z przyciągającą wzrok szlachetną, diamentową rustyką (podobne oglądałam tylko we Florencji, w Kazimierzu nad Wisłą i na krakowskiej ul. Kanoniczej). Druga, ze względu na swą zwyczajową nazwę „Mały Wawel” wywołuje kolejne skojarzenia z Krakowem. Związana jest z rodziną króla Jana III Sobieskiego. Na jej arkadowym dziedzińcu rzeczywiście czuję się jak „u siebie”.

Kolejnym punktem programu było miejsce, które w pewien sposób łączy się z wczorajszą „religijną” częścią wycieczki. To siedziba Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Czyli znajome Ossolineum, którego oddział mamy też we Wrocławiu. Umiejscowione w klasycystycznej architekturze byłego klasztoru karmelitanek trzewickowych. Miejsce, które jest takie „polskie”, znow miałam wrażenie, że jestem tam gdzie być powinnam.

Przed powrotem do kraju musiałam zahaczyć o jeszcze jeden kawałek „Polski poza granicami” – Cmentarz Łyczakowski. Klimat ten sam co na krakowskich Rakowicach i wileńskiej Rossie. Kamienna rzeźba obrosnięta mchem, drzewa, nie koszona trawa,

paprocie. I to światło przenikające przez liście, nadające niesamowity klimat całości. Wiem, brzmi to dziwnie, ale uwielbiam takie stare cmentarze, mają „duszę” i widać, że ludzie je kochają. W tym całym pięknie szukałam dwóch konkretnych nagrobków: Artura Grottgera i Marii Konopnickiej. Dwa nazwiska, które nieodmiennie wiążę z Polską, których nie sposób ominąć. A później, już bez konkretnych nazwisk, skierowałam się na cmentarz Orłąt Lwowskich. Tutaj klimat jak z warszawskich Powązek. Chwila zadumy, refleksji. Ale też przerażająca pustka...

W takim nastroju musiałam myśleć o powrocie. I po raz kolejny zdumiało mnie kilka rzeczy. Obserwując śpieszących w swoje strony ludzi po pierwsze zdumiałam się nad gracją kobiet. Przecież tamtejsze chodniki są jeszcze bardziej (przynajmniej miejscami) zaniedbane niż te nasze, a one jednak tak zgrabnie sobie radzą balansując pomiędzy kolejnymi „kocimi łbami” na cienkich szpilkach. Po drugie – również zestawiając to ze znanymi realiami – zdumiała mnie niefrasobliwość kierowców. Tam naprawdę sztuką jest przejść przez jezdnię! Samochody pędzą w we wszystkich kierunkach, nie oglądając się na światła i ludzi stojących na pasach, oczekujących na możliwość przejścia. Człowiek prawie z ulgą wsiada do przepełnionego tramwaju. To w nim można spotkać największy przekrój społeczeństwa. Od eleganckich biznesmenów w zachodnich garniturach, do bileterki w nylonowym kitelku. Po prostu magia.

I z obrazem tej magii, tym konglomeratem doznań i odczuć musiałam wrócić. Przywitać pociąg, przejechać po torach te dziesiątki kilometrów, żeby ponownie wprząc się w domowy kierat.